

Marta Fortowska

Hidzra

WSTĘP

Głos z offu.

Urodziłem się w Nigerii, to jest w Afryce Zachodniej, to jest nad Zatoką Gwinejską.

Urodziłem się w plemieniu Ibo, to jest w plemieniu, które kiedy kobieta rodzi bliźnięta, to drugie dziecko plemię zabija, jak świnie.

Urodziłem się w Nigerii, w plemieniu Ibo.

Urodziłem się jako pierwszy i zostałem na zawsze nazwany *inmeabo*, czyli jeden, który jest dwoma.

Urodziłem się jako pierwszy i zabiłem swojego brata swoim pierwszeństwem i teraz na zawsze ja jestem jeden, który jest dwoma.

Urodziłem się w plemieniu Ibo. Zabiłem tak, jak zabija się świnie.

I

Zapala się światło.

Na scenę wychodzi mężczyzna.

Zaczynając monolog podchodzi do jednej z kobiet na widowni.

Ogląda ją uważnie. „Przegląda się” w niej.

ZBUK

Z wierzchu piękne, gładkie jajeczko, delikatna skorupka. Już widzę ciepłe żółtko rozlewające się na świeżej bułeczce. Jeszcze nie wiem, że w środku – zbuk. Gdybym nie był głodny, wysiadywałbym Cię i czekał, aż wykluje się z Ciebie kurczaczek, którym będę się zajmować, karmić, głaskać puszyste piórka.

Jeszcze nie wiem, że nie ma kurczaczka – jest zbuk. Ze zbuka nigdy nie wyjdzie mały, żółty ptaszek. Zbuk jest zbuk.

Lubię oddzielać białko od żółtka, skorupkę od środka, przelewać z jednej połówki do drugiej, z jednej do drugiej... Już smakuję to pomarańczowe serduszko, tę duszyczkę na kromce chleba i tylko ostatnie spojrzenie do wnętrza twojej skorupki, w głąb Ciebie, a tam na białej ścianie trzy czarne kropki. Zbuk. Nic nie śmierdziało, dopóki ich nie zobaczyłem. Zbuk jest zbuk.

FAWORYT

Dziecięce wyobrażenie Rafała o sobie samym.

W przedszkolu był chłopak, z którym każdy chciał się przyjaźnić. Podobał się wszystkim dziewczynom i lubiły go wszystkie panie. Mieliśmy w sali duży, plastikowy, biały zamek. On zawsze w tym zamku siedział i się rządził.

Na bal przebierańców przychodził jako rycerz i jedyny miał w kieszeni scyzoryk. Nie wyjmował go na co dzień, nie wymachiwał nim na prawo i lewo, ale każdy wiedział, że ma go w lewej kieszeni spodni. Na zdjęciach z balu najwyraźniej widać właśnie ten scyzoryk, bo specjalnie ściągał paskiem spodnie o jedną dziurkę dalej tak, żeby kieszenie opinały jego uda. Był faworytem pań, chłopaków i każdej dziewczyny. Każdy chciał być taki, jak on i nosić scyzoryk w lewej kieszeni spodni.

SZTUCIEC

Jedziemy na obóz. Mama pakuje mi wszystko. Menażkę i stalowy kubek. Sztuciec. Jak się mówi na łyżkę i widelec połączone ze sobą? Niby dwa, a jednak jeden. Jak to nazwać? To bardziej łyżka, czy bardziej widelec?

Sztuciec.

Jesteśmy na obozie, idziemy do lasu. Zabawa integracyjna w chowanego. Z przypadku, wyliczenia czy innego dziadostwa wypada, że jestem liderem. Ja nie, ja dziękuję, ja się nie nadaję. Ja jestem tylko sztućcem takim. To wszystko. Jeden chłopiec bardzo chce być ze mną w grupie. Podchodzi nieśmiało. „Okej, ale musisz mi pokazać pisiola”.

Idziemy w krzaki.

Młody odpina guzik.

Jak to jest?

Młody odpina guzik.

Chcę być jak on. Mieć wszystko jak on.

Młody odpina guzik.

Jak to jest nie być obozowym sztucem?

Chcę być jak on. Mieć wszystko jak on.

Obudzić się jako on nawet, gdybym miał teraz jakiejś dziewczynie pokazywać pisiola.

Młody odpina guzik.

Dzielnie to znosi.

Młody odpina guzik.

Stop.

Granica.

Podbrzusze.

Nic więcej.

Ja stoję jak ten sztuciec.

BAJKA O TESTOSTERONIE

Gdzieś na świecie jest działka z niewielkim ogródkiem. Tam lata temu silny mężczyzna pielł grządki truskawek. Klęczał pochylony nad nimi, a ziemia wchodziła mu pod paznokcie, przyklejała się do odkrytych kolan. Pot wsiąkał w zieloną, flanelową koszulę. Wycierał mokre czoło rozgrzanym przedramieniem. Nad truskawkami robił znak krzyża - niech Bóg błogosławi truskawki - jedyne dobro tego dnia.

Myślę o nim, jadąc na działkę ze swoim chłopakiem. Jadę z nim, bo wszystkie dziewczyny gadają, jak to fajnie jest mieć chłopaka. Jest stanowczy, zdecydowany, pewny siebie. Z kimś takim jak on będę bezpieczna, a truskawki mojego dziadka zachowają ciągłość - przecież będzie je pielł silny mężczyzna.

W grządce truskawek stoi plastikowa Matka Boska. Tylko ona wie, że dla niego najlepsze truskawki to te świeżo zerwane z krzaka, jeszcze pachnące ziemią. Gryzie je zachłannie, a między zębami zgrzyta mu piasek.

Matka Boska stoi tam od zawsze. Pod spodem ma mały korek, który on wyciąga, a wtedy z Matki Boskiej płynie woda. Myje ręce wodą z Matki Boskiej, zrywa jeszcze trzy truskawki. Podchodzi do mnie i wkłada mi do ust jedną truskawkę. Gryzę i pluję. Wciąż ma na sobie piasek,

nie lubię z piaskiem. On podnosi z ziemi wypluty przeze mnie kawałek truskawki i z powrotem wpycha mi go do ust. Połykam w całości żeby nie gryźć.

Podbiegam do Matki Boskiej w białej koronie i popijam truskawkę wodą z Matki Boskiej.

PIENI SIĘ

Rafał owija klatkę piersiową bandażem, uderza, ugniata ją pięściami.

Brudny. Jestem taki brudny, nawet Biały Jeleń nie jest w stanie mnie domyc, chociaż mama tak bardzo się stara.

Mamo, daj spokój, myłem się niedawno, po co znowu?

Nie lubię tego osadu z Jelenia, mamo...

Stawia mnie w misce. W dużej żółtej misce z rączkami po bokach i szoruje moje ciało.

Szoruj mocniej, mamo, zetrzyj mi skórę.

Mocniej, nie bój się, mamo, nic złego mi się nie stanie.

Mamo, pomóż mi jakoś.

Mamo, jest mi źle.

Nie chcę sukienek, jestem chłopcem, a my nosimy spodnie, w których robimy dziury.

Mamo, nie zmuszaj mnie, żebym nosił sukienki, koledzy będą się ze mnie śmiać, mamo...

Mamo, pomóż mi żyć.

Rafał jako matka:

„Mamuniu, mamuś, zrób mi jajo, ale żeby kurczaczek robił chlup chlup!” - już jako brzdąc taki, o, ledwo to od ziemi odrosła, a już tak krzyczała do mnie. Kurczaczka chciała, a sama była jak taki żółciutki ptaszek. Ptaszyna moja. Moje ko ko ko. Piórka takie na główce miała. Dreptało to za mną tak uroczo. Ja jeden krok, a ona trzy na swoich nóżkach maleńkich, maciupkich, no jak u kurczaczka, no. I tylko ko ko ko - świergotała...

Mówię do niej. Ona nie słucha. Płacę do niej, a ona nic, żadnej reakcji, stoi jak posąg, zimna jak kamień. Chcę z Tobą rozmawiać, kurczaczku, powiedzcie Ci, że wystarczy się pomodlić, wiesz? Tam na górze słuchają każdego, kto do nich mówi. Ja może za mało się za Ciebie modliłam, skoro ty teraz jesteś... taka... Może za mało. To teraz razem, chodź, daj mi rękę, nie wrywaj się, chodź, wystarczy poprosić Boga, on Ci wszystko da. Tylko musisz szczerze”.

Mówię do niej. Ona nie słucha. Płacę do niej...

Z mamą nie było źle. To znaczy było. Ale nie było agresji. Tylko płacz. Budziła mnie. Budziła mnie codziennie, bardzo wcześnie rano i kazała klękać przy łóżku. Na ścianie powiesiła obraz Maryi z dzieciątkiem Jezus i opowiadała, że widzi tam nas. Że jeżeli oboje mocno się postaramy, to też tacy będziemy. Idealni. Prosiła, żebym modlił się razem z nią i żebym robił to szczerze. Bo ona może i nie wie, ale Maryja z dzieciątkiem wiedzą, kiedy mówi się do nich nieszczerze. Więc modliłem się na głos, a ona słuchała. Im głośniej mówiłem modlitwę, tym

mocniej mnie przytulała. Uśmiechała się, widziałem. I mruczała pod nosem, że „Jeszcze wszystko będzie dobrze, Córku, jeszcze będzie dobrze...”

WILK

Z tatą było gorzej. Nie powiedział nic. Wszedł z domu i nie było go całą noc, a biedna mama musiała nie dość, że za mnie, to jeszcze za niego się modlić, żeby jemu nic się nie stało, jak będzie się włóczył po nocy.

Wrócił bardzo wcześnie rano. Spodnie całe zielone, od trawy jakby. Kiedy mama, między jedną „zdrowaśką”, a drugą, zapytała, gdzie był całą noc i skąd te plamy i przetarcia na spodniach, powiedział, że spał w lesie, na mchu. Że skoro jego córka chce być facetem, to on może chcieć być wilkiem. I zawył przeraźliwie - auuu! Mama zapytała, czy chce kawy. Nie chciał. Kto to widział wilka pijącego kawę?

Potem wszedł do mojego pokoju na czterech łapach, otworzył nosem szafkę i zębami zaczął wyciągać z niej moje ubrania. Niektóre z nich porozrywał. Ze swojej szafy przyniósł spodnie, najgorsze jakie miał, jedną białą koszulę z pośliskim kołnierzykiem („Będiesz miała na święta”), kilka rozciągniętych tiszertów, które nosił tylko „po domu” i stare wysokie, zielone kalosze, w których jeździł na ryby. Potem zawył jeszcze raz w obojczyk mamy.

Mama uspokajała go bardzo długo, a kiedy już nie wył, tylko trząsał się, siedząc na podłodze i tępo gapiąc się w wiadomości, poszła do mojego pokoju i obok obrazka z Maryją i dzieciątkiem powiesiła kolejny, ze świętym Józefem. Żeby opiekował się naszą rodziną. Zaciągnęła tatę przed moje łóżko, jemu kazała uklęknąć przed obrazkiem świętego Józefa, a mi od strony Jezusa. Sama pokłoniła się Maryi, chwyciła nas za ręce i zaczęła się modlić.

II

DZIECKO KRAKATAU

Urodziłem się w Yogyakarcie, to jest w środkowej części Jawy, to jest w Indonezji.

Urodziłem się u podnóża Merapi, to jest u podnóża wulkanu, z którego dym wydobywa się przez trzysta dni w roku.

Urodziłem się w Yogyakarcie, u podnóża Merapi.

Urodziłem się pod wulkanem i zbudziłem go swoim płaczem, a on zbudził Anak Krakatau i było nas dwoje płaczących dzieci.

PIF PAS

Wychodzę z domu i idę na pętlę tramwajową. Wsiadam do piątki. Wchodzi kobieta. Z torby wyciąga niewielki pistolet i przekłada go do kieszeni kurtki. Motorniczy nic nie widzi, gra w węża na telefonie, dwóch chłopaków gada o dupach, a młody łoś – dresik słucha muzyki na full. Nikt, poza mną, nie widział tego cholernego pistoletu, a ja tylko siedzę – nic więcej.

Patrzę na nią i nie wiem, jak ułożyć dłonie, co zrobić ze strużkami potu kapiącymi mi z rzęs prosto na nos. Połykam je w końcu, albo wycieram rękawem. Po chwili wychodzi - ja szczęśliwy, że będę żyć, będę, będę, nikt mi tego nie odbierze. Od razu widzę - buduję dom, sadzę drzewo i płodzę syna, aż nagle ona wraca się, idzie w moją stronę, ja mam rentgen w oczach - widzę w jej kieszeni ten pieprzony pistolet i chuj – dom się wali, drzewo więdnie, syn umiera.

Jadę. A ja jadę. Czerwone cielsko tramwaju dyktuje, co ma robić moja głowa, więc ta chwieje się w prawo, w lewo, w prawo, w lewo. I zaprzecza. Ciągłe zaprzecza. Że nie.

Nie.

Jakiś gość zaczyna sobie przy mnie trzepać.

Nie.

Nie.

Nie widziałem tego początkowo, tylko kątem oka zobaczyłem, że przy moim miejscu staje facet. I po chwili tym samym kątem, tego samego oka widzę, jak jego dłoń porusza się niespokojnie w okolicy spodni, potem w okolicy nogawki, aż w końcu w okolicy kroku, aż wreszcie w okolicy mojej klatki piersiowej i schodzi w dół i coraz niżej i ja wtedy podnoszę krzyk na cały wagon.

Tak mi się wydaje, że go podnoszę, a w gruncie rzeczy tylko otwieram usta, jakby czekając na to, co on może z tymi moimi otwartymi ustami dalej zrobić, aż w końcu w strachu zamykam je i myślę sobie: „Masz dwa wyjścia – albo nadepnąć mu na stopę, albo iść z nim tam, gdzie on chce”, więc ja depczę jak oszalały i widzę, jak wywala źrenice, a potem białka, a potem rzęsy mu się sypią w drobny mak i wypada na przystanek przez otwarte drzwi tramwaju, a ja nie wysiadam, tylko do końca dnia jeżdżę od pętli do pętli.

OSWAJANIE

Chcę sam do siebie.

Sam ze sobą chcę rozmawiać.

Ja pytanie.

Ja odpowiedź.

Spokojnie dłonie w dwa dzióbki układać i udawać, że one ze sobą, do siebie.

A tak naprawdę to ja sam.

Chcę sam do siebie.

Gadają mi głosy w kanałach.

Piszczą.

Łkają albo się zaśmiewają.

Ale wciąż wyobrażam sobie, że sam do siebie.

Nie chcę tych stęków, jęczenia tego.

Coś mnie tak ładnie prosi.

Ja uparcie, że to tak sam do siebie.

Kobieta do mnie przyszła, ja spałem.

Drzemałem.

Szeroki szary płaszcz miała.

Przysiadła na wysokości mojego brzucha i patrzyła.

Nóż.

W kieszeni płaszcz nóż miała.

Nie widziałem, ale wiedziałem.

Był nóż. Na pewno był nóż.

Wyciągnęła go, ja zakryłem brzuch.

Dziecko.

Dziecko w brzuchu miałem.

I ona tym nożem w brzuch chciała.

Tak pomyślałem, że w brzuch, że w dziecko moje.

Bierz. Bierz je.

Nie tam powinno być.

A ona przetała nóż płaszczem i zaczęła obcinać sobie paznokcie.

Tak, jakby ziemniaki obierała.

JAK SIĘ ZAKRZTUSIĆ?

Jak udawać, że się krztuszę? Na zawołanie? Jak?

Mogę się łąpać za gardło i udawać, że się duszę, to w sumie bardziej efektowne - dusić się przed Wami.

Wy siedzicie, bo myślicie, że to ściema, że żartuję, zaraz przestanę.

Muszę przestać, przecież nie umiera się tak łatwo. Na pstryk.

Nie umiera się.

Nie przy Was.

Mogę sobie wepchnąć do gardła jakiś kanciasty kawałek czegoś, czegokolwiek.

Wepchnąć, tak. Próbować połknąć.

Czasami marzę, że się krztuszę.

Albo duszę.

Obojętnie.

Wśród ludzi, na ulicy, w biały dzień.

W najjaśniejszy dzień na świecie, jaśniejszego nikt nie widział.

Padam na chodnik, jest twardy.

Ale nie boli.

Chociaż jest twardy cholernie.

No więc upadam i duszę się, albo przeraźliwie krztuszę.

Obojętnie.

Tracę przytomność.

Ludzie podbiegają.

Zastanawiają się, jak mi pomóc.

Ktoś się wyrywa, że usta usta.

Ludzie się zbierają.

Ktoś krzyczy, że karetka. Że po karetkę trzeba dzwonić.

Ludzie otaczają mnie coraz ciaśniej, migają mi tylko ich stopy dookoła mojej głowy.

Stopy w sandałach, w adidasach, kilka szpilek, jakieś baletki.

Skąd się tu wzięła baletnica?

Ktoś mi grzebie w kieszeni i wyjmuję dokumenty. Do rodziny chce dzwonić.

Bierze dowód, czyta.

I słyszę.

Słyszę, jak mówi.

Marianna?

Marianna!

Dlaczego ten facet ma na imię Marianna?

III

WARGATEK SANITARNIK

Urodziłem się w Oceanie Indyjskim, to jest bardzo blisko Ciebie, nawet jeśli wydaje Ci się, że mieszkasz daleko od niego.

Urodziłem się przy jednej z najpiękniejszych raf koralowych na świecie. Ludzie wydają mnóstwo pieniędzy, żeby zobaczyć mój dom.

Urodziłem się w Oceanie Indyjskim, to jest przy jednej z najpiękniejszych raf koralowych na świecie, to jest bardzo blisko Ciebie.

Urodziłem się bardzo blisko Ciebie i czyściłem twarze rekinów. Czyściłem twarze rekinów, tych krwiożerczych bestii i nie bałem się tego. Nie miałem czego.

Urodziłem się bardzo blisko Ciebie, to jest obok czegoś gorszego, niż rekin.

O POPRAWNOŚCI

22 lipca 2013 roku szesnastoletnia transdziewczynka Dwayne Jones, zostaje zamordowana na Jamajce.

Dziecko może tańczyć wśród heteroseksualistów.

Nastolatek może tańczyć wśród heteroseksualistów.

Transdziewczynka nie może tańczyć wśród heteroseksualistów.

Transdziewczynka niech lepiej zostanie w domu.

A nie, sorry.

Transdziewczynkę z domu przecież wyrzucili.

Wyrzucili transdziewczynkę z domu, bo jest chłopcem.

Chłopiec, który nie poczuwa się do swojego kutasa.

Chłopiec, który mierzy sukienki matki, gdy tej nie ma w domu.

Chłopiec, który nigdy nie upuści z siebie ani jednej poprawnej społecznie kropelki, nie spłodzi dziecka - na co nam taki chłopiec nie-chłopiec?

Chłopiec-śnięta ryba. Jeszcze żyje, ale nie będzie już z niego żadnego pożytku.

CO POCZAĆ?

Słyszysz? Tego nie robi się kotu. Nie robi się, nie wychodzi się z dnia na dzień, nie zostawia z pustą miseczką.

Nigdy nie umiałaś ładnie się śmiać, ale i tak uważałem, że śmiejesz się pięknie, podczas gdy ty tylko „kwikałaś”. „Kwikałaś” i chrumkałaś od czasu do czasu, to chrumkanie było obrzydliwe, szczególnie, kiedy miałaś katar, bo wyobrażałem sobie wtedy gęstą wydzielinę, która z nosa spływa Ci do gardła, a ty przegapiasz moment, w którym możesz ją wypluć i co masz zrobić?

Połykasz ją.

I zostawiasz takiego kota, który mimo to, chwilę później, ładował Ci język do ust.

Nie wychodź, proszę, wsadzę sobie dłoń w ogień, już odkręcam gaz, zobacz...

Nie wychodź, proszę, zejda mi wszystkie paznokcie, już nigdy dla zabawy nie pomalujesz mi ich na różowo.

Nawet na takie rzeczy Ci pozwalałem.

Nie wychodź, proszę, zlecają się ptaki na moje martwe mięso i będą dziobać do kości, wyobraź sobie, jak to będzie wyglądać? Ze spaloną ręką już nigdy nie zrobię Ci dobrze.

A ty:

Już nigdy nie będzie nam dobrze, moi rodzice chcą mieć wnuki, a ja udane stosunki. Sąsiedzi mówią, że jestem lesbijką. Już nigdy nie będzie nam dobrze.

Jestem cieniem. Nie chcę być cieniem... Chcę żyć, a nie snuć się z dnia na dzień, wszystko przeze mnie prześwituje, mało jem.

Powinnaś więcej jeść i zakładać szalik, kiedy wychodzisz z domu, robi się zimno. Zobaczysz, wystarczy, że będziesz więcej jeść i zaczniesz się ciepłej ubierać i będzie nam dobrze. Przecież możemy stąd wyjechać, możemy zostawić twoich sąsiadów...

Nie jestem lesbijką. Jak, będąc mężczyzną, można być lesbijką? Ja wiem, że to tak wygląda.

Bardzo bym chciał nie być dla Was lesbijką.

I dla ludzi reprezentujących mojego Boga, bo wierzę w Niego. Był taki okres, że dużo się modliłem. Wstawałem rano i dziękowałem Bogu, że mogę się obudzić. Trochę się żaliłem, że w obcym ciele, ale więcej dziękowałem. A potem kładłem się spać i myślałem sobie, że ten dzień był dobry. I też dziękowałem.

Kiedy był zły - też dziękowałem.

Kiedy w szkole znosiłem złościwości dziewczyn, że nie noszę stanika - też dziękowałem.

I kiedy sprzedawczynie w monopolowym zapytała „Co dla Pana?” - też dziękowałem.

I kiedy ojciec pierwszy raz powiedział do mnie „synu” - też dziękowałem.

I wtedy, kiedy chłopcy złapali mnie w piwnicy i chcieli, żebym im pokazał cipkę - też dziękowałem.

I potem, kiedy zaczęli wołać na mnie Rafał - też dziękowałem.

KOBIETA W SUKIENIE W AZTECKIE WZORY

Wychodzę ze sklepu.

Zjeżdżam schodami w dół.

Przed sobą widzę wysoką kobietę.

Ma cienkie, kręcone blond włosy.

Ubrała się dzisiaj w długą, fioletową sukienkę w małe, azteckie wzorki.

W ręku trzyma torebkę.

Kiedy idzie, energicznie rusza rękoma.

Torebka podskakuje jej, jakby radośnie.

Zanim weszła na ruchome schody, rozmawiała z trójką czarnoskórych mężczyzn.

Nie wiem, czy się znali.

Może po prostu zaczepili ją.

Spodobą im się.

Wysoka, szczupła, włosy blond.

Oko podkreślone niebieską kreską.

Stoi przede mną.

Twarz odwraca do słońca.

Mruży oczy.

Uśmiecha się.

To ładne.

To dziwne.

My się przecież nie uśmiechamy.

Może miło jej.

Ci mężczyźni wciąż za nią patrzą.

Myśli może - warto było się stroić.

Myśli może - wreszcie zaczyna się dobrze dziać. Jedziemy schodami w dół.

Słońce gdzieś znika.

A ona mi ucieka.

Przeprasza ludzi stojących przed nią.

Ja krok za nią.

Widzę twarze osób, które mijają.

Mężczyzna szturcha kobietę obok.

Patrzą na siebie porozumiewawczo.

Strzelają do siebie oczami.

Uśmiechają się pogardliwie.

Kręcą głowami.

I po tych twarzach już wiem.

Już wiem na pewno, że to ona.

Taka sama, jak ja.

Chciałbym, żebyś miała dziś wolne popołudnie. Iść z Tobą na kawę, to by było coś. Wystrojona. Wymalowana. Pewna siebie. Nie przeszkadzają mi szerokie barki. Masywne nogi. Nie będziemy się przecież kochać. Żebyś tylko mówiła „-eś”.

To by było coś.

LIFE ON MARS?

Może powinienem przylecieć z jakiejś dalekiej planety. Dalszej niż Afryka, Indonezja i Oceany. Może powinienem przylecieć, na przykład, z Marsa i wtedy wszyscy byliby mną zainteresowani, że co ja tu robię, po co przyleciałem? Może powinienem pofarbować sobie włosy na wściekle pomarańczową marchewkę i stylizować się na tajemniczego kosmitę, za którym będą szaleć i kobiety i mężczyźni. Może tak właśnie powinienem zrobić.

Szkoda, że nie wpadłem na to wcześniej. Przed falą upokorzeń, która mnie spotkała. W przypadku co życzliwszych ludzi widzę chęć tolerancji. I zakłopotanie. Bo w sumie nie wiedzą, co mają ze mną zrobić. Czy mają mocniej trzymać za rączki swoje dzieci, bo jeszcze je zgwałcę? Ja nawet nie mam fiuta. Sorry. Albo jak się do mnie zwracać? Wtedy każdy zaczyna się jękać. Czasem zamiast kurwy, pedała, zboczeńca ktoś nazwie mnie grzeczniej - transwestytą. Doceniam to. To jest już przejaw jakiegoś szacunku...

Najbardziej boję się tego, że wracając w nocy z imprezy, jakiś przyczajony w ciemności facet zobaczy we mnie coś z kobiety. Jakiś jeden pierwiastek, którego nie uda mi się przykryć, jakąś część, która podnieci go tak, że nie skończy się na trzepaniu, tylko pójdzie o krok dalej, głębiej. We mnie. Że złapie mnie w tej uliczce, nikt nie będzie słyszał mojego wołania, bo wszyscy będą spać snem sprawiedliwych.

On mnie łapie, ja krzyczę. Tak mi się wydaje, że krzyczę, a w gruncie rzeczy tylko otwieram usta, jakby czekając na to, co on może z tymi moimi otwartymi ustami dalej zrobić.

Ładuje we mnie wszystko, co ma.

Słyszeć mlaski.

Coś mokrego czuję na twarzy.

To ślina cieknie mu z mordy.

Leżę jako ona.

Sparaliżowana.

Chcę mu grzecznie powiedzieć, że się pomylił, że jak chce, to niech weźmie ją sobie na własność, ja jej nie potrzebuję.

Leżę jako ona.

Zobaczył ją we mnie.

Głupia gęś.

Myślałam, że nikt nie widzi. Że nikt nie zauważy, a on mnie gwałci.

Bo widzi we mnie ją.

Jestem dla niego kobietą.

Jestem dla niego chodzącą cipą.

Jestem dla niego chodzącą cipą, za którą może złapać i poszarpać.

To, że zaciskam nogi sprawia, że ona jest ciaśniejsza i jemu jest przez to przyjemniej.

Ale jak mam nie zaciskać?

Leżę jako ona.

Potem, nie wiadomo skąd, rośnie mi brzuch.

Ciotki się cieszą.

Wreszcie zrobiła się ze mnie „porządna panienska”.

Opamiętałam się, „nawróciłam”.

Teraz będę samicą rozplodową.

Będę rodzić dzieci.

Przyjmować w siebie faceta. Może męża?

Chociaż dajmy jej spokój z tym mężem!

Ważne, że znormalniała przecież.

A do małżeństwa też dojrzeje.

Jak dobrze, och, och!

Wróciła nasza panienska malowana.

Nie będziemy się musieli wstydzić na chrzcinach, weselach, wigiliach.

Nóż.

Bierz. Bierz je.

Nie tam powinno być...

CÓRUŚ

Jeszcze wszystko będzie dobrze, Córkuś, jeszcze będzie dobrze...

Tak się uspokajam. Nas tak uspokajam. Bo to Coś, co zostało mi po moich spełnionych lękach, wierci się strasznie. Rodzicom nie mieści się to wszystko w głowie. Chociaż miękną. Tata na przykład z wilka zmienił się w psa. Jeszcze gryzie, ale jakby delikatniej. Nie wbija już zębów gdzie popadnie.

Ludzie przerzucają mnie sobie z rąk do rąk. Nas. Ostatnio w Urzędzie czekałem godzinę, aż w końcu ktoś został do nas wyznaczony. Bo nikt nie wiedział, co z nami zrobić. Pierwsza Pani poległa już na samym początku, próbując to wszystko jakoś logicznie rozwiązać. Bo ona ma papiery i papiery to jest świętość, bo jej się musi wszystko zgadzać, wszystko na tip-top ma być, żadnych niedociągnięć ona mieć tu nie może, bo Kierowniczką jej łeb ukręci, jak ona tu wyczaruje takie nie-wiadomo-co (jak my). W związku z jej aktem paniki i ogólnego nie radzenia sobie z zaistniałą sytuacją, przejęła nas sama Kierowniczką. Sprawiała wrażenie odpowiedniego człowieka na odpowiednim miejscu. Taka z wyglądu kompetentna kobieta, która na wszystko ma rozwiązanie i „Tobą, mój drogi, też się jakoś zajmiemy”.

- Ja tu nie widzę problemu. No sprawa dla mnie jest zupełnie czysta. No Pan to się musi po prostu odkręcić. Zmienić płęć Pan musi jeszcze raz. Tak będzie najlepiej. Dla Pana. A dla mnie, dla Urzędu ogólnie - tym bardziej. Wtedy Pana, jako kobietę, bez problemu wpisujemy jako matkę, a ojciec będzie po ludzku - nieznany. Nie wiem, z czym oni się tu tak męczyli. Prosta sprawa. Prawda?

Nieprawda.

No to inaczej:

- Ja Panu, kochanieńki, powiem tak: dla mnie sprawa jest zupełnie czysta - Pana wpisujemy jako ojca, a Panią, to znaczy, Pana poprzednie wcielenie, wpisujemy jako matkę. I po kłopotcie.

Dziecko nie może nie mieć matki. Ojciec może być nieznany, proszę bardzo, ale matka - matka to Urzędowa Świętość. Trzeba ją znaleźć. Ale po matce ślad już dawno zaginął. Nie ma jej nigdzie. Ani w papierach, ani w pamięci komputera. Nie ma. Zniknęła.

Pam
pam
param
pam
param
pam
pam
pam
pam

Marsz żałobny po śmierci córki, wnuczki, koleżanki.

Urzędy mogą już matkę pochować.

Nie ma.

dziecko
może mieć matkę
bez piersi

karmienie
to da się jakoś ogarnąć

ale dziecko
nie może mieć matki
co chce być ojcem

nie u nas
nie tu

JESTEM

Jestem po obiedzie w Bangkoku. Ryba, garść frytek i pyszna sałatka. I jestem w waszych życiach. Uczestniczę w nich. Czy tego chcecie, czy nie.

Funkcjonuję w społeczeństwie. Funkcjonuję sprawnie i głowę noszę wysoko. Możecie mnie po niej tłuc. Chcecie? Chodźcie, spróbujemy - wy będziecie tłuc, a ja jej nie pochylę. Zagramy?

Dlaczego kiedy idę, mam świdrować wzrokiem chodnik? Nie rozumiem. Czy jest tu ktoś, kto może mi wytłumaczyć, czego mam się wstydzić? Jestem. Jestem! Boże, jak dobrze, że jestem, że mogę być. Że Żyję. Teraz już Żyję.

Bo kiedyś nie. Kiedyś nie było we mnie życia. Było ciało i duch oddzielony od niego grubą krechą. Były piersi - dwie kule, które bardzo chciałem zmniejszyć i umieścić poniżej pasa. I dziewczyna krew, którą co miesiąc miałem ochotę mieszać z krwią ze swoich żył, żeby wreszcie, raz na zawsze, przestała płynąć. Albo żeby chociaż razem z tą krwią wypłynęło ze mnie wszystko inne. Ducha wyzionąć razem z nią - nie było myśli, która bardziej niż ta, dawałaby mi jednocześnie ulgę i sprawiała tyle bólu, tyle bólu, że nic nie jest w stanie się z nim mierzyć.

Często wtedy czułem, jakbym umierał. Zawsze tylko na niby. Bo kiedy już będę umierać naprawdę, pójdę do parku.

Pójdę wieczorem, o takiej godzinie, o której nikogo już tam nie będzie. Zacznę się wspinać na drzewo i kiedy będę już wystarczająco wysoko, powieszę się na nim. Ale nikt wtedy nie spojrzy w niebo, na którego tle będzie wisiał stary transseksualista, bo transseksualiści nie są ptakami, nie są nawet wiewiórkami, żeby skakać po drzewach. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że zamienię się jednak w skoczną wiewiórkę i gałąź po gałęzi będę się wspinać coraz wyżej, tylko po to, żeby powiesić się na swoim rudym ogonie.

Zanim zacisnę na szyi puchatą pętlę, popatrzę sobie na miasto. Policzę pałace się w waszych oknach światła, zajrzę do waszych pokoi, zapukam do drzwi łazienek. Potem jak Kordian na chmurze, polecę na gałęzi przez całe to ścierwo i będę sypać wióry na wasze domy, żeby się stały łatwopalne. Nie rzucę jednak nawet najmniejszej iskry.

Później wrócę na drzewo i powieszę się na nim. Mam nadzieję, że rano, kiedy wszyscy będziecie iść do pracy, pomyślicie sobie - „Co za piękny dzień! Dziś pójdę przez park!” - i po drodze odprowadzając do przedszkola swoje dzieci, zobaczycie zwisającego z drzewa starego transseksualistę. Pokrąkę, dziwadło. Zasłonicie dzieciom oczy, a one będą się wam wrywać, koniecznie chcąc zobaczyć, jak wygląda Pan samobójca. Pozwólcie im wtedy patrzeć. Niech widzą, jak się zarzyna świnię. W biały dzień. W najjaśniejszy dzień na świecie. Jaśniejszego nikt nie widział. Chcę, żebyście razem ze swoimi pociechami patrzyli na mnie i zastanawiali się, dlaczego ten mężczyzna się powiesił?

JA

Tutaj nazywam się Rafał.

Ja Archanioł.

Ja Archanioł Rafał.

Ja stworzony przez Boga już pierwszego dnia.

Ja, to znaczy, „Bóg uzdrowi”.

Uzdrowi Ciebie, jeśli chcesz, mogę Go o to poprosić.

Halo, Boże, uzdrów tę Panią, tego Pana.

Halo, Boże?

Halo?

Nie odbiera, widzisz, ale odbierze - zobaczysz.

Ja Rafał.

Ja Archanioł.

Bóg mnie stworzył już pierwszego dnia.

Chciał mnie tutaj.

Chciał!

Prawda, Boże?

Halo?

W Meksyku nazywam się Muxe.

Mam matkę, która jest ze mnie dumna.

To ona wybrała, kim będę.

I cieszy się z tego tak bardzo.

A stworzył mnie znowu Bóg.

To on kazał Świętemu Wincentemu zaludnić nami Meksyk.

A ten, lecąc nad Juchitan upuścił torbę pełną naszych dusz.

I oto jestem.

Znowu z czystej woli Boga.

W Indiach nazywam się Hidźra.

Tańczę teraz gdzieś między mężczyznami i biorę od nich pieniądze.

Błogosławię ich za to.

Urodziło Ci się dziecko?

Już biegnę je błogosławić.

Żeby mu się dobrze żyło.

Ciebie też pobłogosławię, jeśli chcesz.

Ja Hidźra.

Oddany do Matki po urodzeniu.

Wszyscy wiedzieli, że nie nadają się do życia.

Normalnego.

Teraz mogę być prostytutką.

Albo umrzeć.

Niewiele możliwości.

Hidźra - Hidźra.

Dobrze słyszysz.

„dź” na „dz” jak zamienisz, to masz moje imię.

Hidźra.

Wielka Ucieczka proroka Mahometa.

Mekka - Jasrib - Medyna.

Ja Hidźra.

Ja Ucieczka.

Archanioł.

Mam skrzydła, a nie mogę ich użyć.

ZAKOŃCZENIE

Urodziłem się w Nigerii, to jest w Afryce Zachodniej, to jest nad Zatoką Gwinejską.

Urodziłem się w plemienu Ibo, to jest w plemienu, które kiedy kobieta rodzi bliźnięta, to drugie dziecko plemię zabija, jak świnie.

Urodziłem się w Nigerii, w plemienu Ibo.

Urodziłem się jako pierwszy i zostałem na zawsze nazwany *inmeabo*, czyli jeden, który jest dwoma.

Urodziłem się jako pierwszy i zabiłem swojego brata swoim pierwszeństwem i teraz na zawsze ja jestem jeden, który jest dwoma.

Urodziłem się w plemienu Ibo. Zabiłem tak, jak zabija się świnie. Może tak właśnie było.